

kiedy najodważniejszy człowiek przed pojedynkiem.

Wszakże i on miał stoczyć walkę, wprawdzie tylko moralną, lecz sroższą może od materialnej, bo z istotą kochaną namiętnie. Dlatego zaś, że posiadał straszną broń, zapewniającą mu zwycięstwo, musiał rachować się z siłą swojej broni, aby przy jej użyciu nie przebrać miary i zamiast poddania się pokonanej, nie wywołać groźnej katastrofy, któraby go raz na zawsze pozbawiła wszelkiej nadziei posiadania umiłowanej kobiety.

Gdy tak rozmyślał, uszu jego doleciał odgłos bolesnego łkania. To Zofia zanosila się od płaczu. Płacz jej obudził w nim wrodzoną mu dziką energię. Ruszył szparko naprzód, biegnąc prawie — i doszedł do żony w chwili właśnie, gdy ona ocierała łzy z twarzy.

— Przepraszam cię — rzekła zmieszana i zapłonią — nie sądziłam, abyś był tak bardzo blisko.

— O, wiem — odparł głosem, w którym dzwiała gorycz i rozdrażnienie — że jesteś wspaniałomyślną i nie chcesz mi sprawiać przykrości, ukrywasz łzy swoje przedemną, lecz zaręczam ci słowem, że ile razy płakałaś, zawsze domyśliłem się tego natychmiast.

Poczem, pragnąc w innym kierunku odwrócić rozmowę, dodał tonem bardzo uprzejmym:

— Zdajesz się mocno zmęczoną, więc pozwól, że cię do domu podprowadzę.

Zaokrąglił grzecznie ramię, na którym ona oparła rękę. Lecz Korf, jakby nagle zapomniał o jej zmęczeniu, odwrócił się w stronę Mentony i zaczął najspokojniej podziwiać wspaniały widok blasków słonecznych, zasypujących sнопami promieni skaliste szczyty, rysujące się na prawem półkolu widnokręgu. Jaskrawo oświetlone regle zdawały się płonąć gorącą czerwienią olbrzymiego pożaru. Potem powiódł żonę na przełęcz, z której tylko co zeszedł, i wskazał jej dolinę Sospel, już prawie całkowicie tonącą w cieniu, jaki rzuciła na nią sylwetka góry i osady Castillon.

— Prawda, jaki interesujący kontrast? — szepnął z dobrze udanym uniesieniem.

Cuda i czary przyrody były dlań zwykle obojętne, tym razem jednak zachwycił się nimi i zwracał na nie uwagę roztargnionej żony, aby — gdy Zofia nie znajdzie w domu córki — już naprzód usunąć z jej umysłu wszelkie podejrzenie co do miejsca, w którym wydarte jej dziecko zostało ukryte. Sprowadzając ją nareszcie do willi po dość długim zatrzymaniu się na przełęcz, rozprawiał dalej z patosem artystycznym o niepospolitych pięknościach jasnego wybrzeża. Powtarzał — ma się rozumieć — zdania i hymny pochwalne, wycytane niegdyś w „przewodnikach“, oraz w nowellach i romanach polskich i francuskich powieściopisarzy, sławiących Prowancję i jej widoki. Zofia, czem innem zajęta, nie słuchała go wcale, a gdy nareszcie dotarła do żelaznego ogrodzenia, opasującego willę z ogrodem, pożegnała męża, mówiąc:

— Pojmujesz, jak mi pilno zobaczyć Janinkę. Wszakże dwie godziny mija, jak jej nie ucałowałam.

Korf pozostał przed domem w pośród eukaliptusów, tudzież drzew cytrynowych i migdałowych, pokrytych kwieciami różowem. Tworzyły tu one ładny gaj, zasadzony z jego rozkazu na grubym nasypie ziemi, przywiezionej z doliny.

Nagle rozległ się głośny krzyk, tętniący przeżeniem... a w jednym z okien willi ukazała się Zofia.

— Słuchaj!... Janinka... moje dziecko...

— Co się stało? — zapytał baron.

— Niema jej w kołysce...

Korf uśmiechnął się raczył:

— Jakże łatwo każdą matkę byle czem przestraszyć. Ależ prawdopodobnie kochająca babcia zabrała do siebie ukochaną wnuczkę!

— Nie, nie! to niepodobna! Nigdy dotąd nie zrobiła tego ani razu... Mamki niema także... Stać się musiało jakieś nieszczęście!... Powiadam panu, że stać się musiało jakieś okropne nieszczęście!...

Ukrywasz je przedemną, a przecież matki oszukiwać nie wolno...

Zesłała na dół i z kolei przywołała z suterenu i ogrodu całą służbę domową, zasypując wszystkich gorączkowymi pytaniami. Wszyscy odpowiedzieli, że starsza pani półtorej godziny temu wzięła dziecko na ręce i razem z mamką oddała się w niewiadomym im kierunku, więc prawdopodobnie powróci wkrótce. Zofia straszliwie błada zaprzeczała im gestem i słowem.

— Nie, nie! to być nie może... Gdyby pani Rutkowska zabrała dziecko z kołyski, wyszłaby z niem niezawodnie na spotkanie ze mną...

— Jeśli chcesz, moja droga — rzekł baron — pójdę do mamy, żeby się dowiedzieć...

— Sama lecę do niej!

I istotnie pobiegła w górę, oglądając się jednak naokoło, czy przypadkiem nie spostrzeże gdzie Rutkowskiej. Mąż pędził za nią, błagając, by się zatrzymała.

— Ależ to szaleństwo gnać tak szybko po takich okropnych ścieżkach... Zastanów się, upaść możesz!



Poczem ukłękła przed Korfem i błagała go rozdzierającym serce głosem.

Ona potykała się ciągle, lecz zatrzymać się nie chciała. Zdyszana i z sił wyczerpana wdarda się nareszcie na płaskowzgórze, nad którym dominowała osada, podobna do twierdzy starożytnej. Stanąwszy tu, wychyliła się w jedną i drugą stronę poza murek, okalający platformę, i patrzyła naprzód w dolinę Sospel, potem w dolinę Mentony, ale tu i tam nie dostrzegła ani mamki, ani Rutkowskiej. Wpadła więc do domu świekry.

Jedyna sługa staruszki, siedząc na progu dolnej izby, cerowała wełniane pończochy.

— Gdzie wasza pani?

— O, już dawno, jak poszła do was!

Zofia zawróciła natychmiast. Biegnąc na dół po spadzistej, pokrytej drobnymi kamieniami ścieżce, pośliznęła się i zachwiała. O mało co nie runęła w przepaść; na szczęście mąż, pędzący za nią, w czas ją wpół pochwyił, wziął na ręce, zaniosł do willi i chciał zmusić, by weszła z nim razem do jego pokoju, lecz ona wyrwała mu się z rąk i pobiegła do pustej kołyski, jęcząc i zawołać straszliwie. Poczem ukłękła przed Korfem i błagała go rozdzierającym serce głosem:

— Miej litość nademną! Mów, mów... chcę wiedzieć prawdę!

Młoda kobieta mniemała dotąd, że jakiś wypa-

dek, który mąż przed nią ukryć pragnie, pozbawił ją dziecka. Lecz nagle w ostrym i przenikliwym jego wzroku, w jego ustach, wykrzywionych nieznacznie sarkastycznym uśmiechem, wyczytała ohydą rzeczywistość. Więc pozbawiona tchu przez dławiące ją oburzenie, zerwała się na równe nogi i krzyknęła:

— To pan skradłeś moje dziecko!

Nic jej nie odpowiedział, tylko roześmiał się złośliwie.

— A więc to pan!... Ach! nikczemny, masz nadzieję pokonać mnie tak podłym sposobem?... I Bóg... Bóg pozwolił ci spełnić czyn tak niegodziwy?... Moje biedne dziecko! Zwróć mi pan córkę natychmiast... chcę tego... żądam koniecznie... bo inaczej strzeż się, strzeż!... Wszakże i w tym kraju muszą być prawa, do których się odwołam. Już się teraz ciebie nie lękam...

Następowała na niego z wzniesionymi w górę ramionami, a w oczach jej błyszczała taka nienawiść, że Korf zawahał się chwilę. Lecz wnet się opamiętał, chwycił ją za obie ręce — za te rączki drobne, które chętnie ucałowałby stokrotnie — i mimowolnym niemal naciskiem zmusił Zofię, że ukłękła znów przed nim.

— Nie krzycz!.. bardzo proszę. Nie mieszajmy służby do naszych swarów domowych... Nadeszła godzina porozumienia się nareszcie... — Uczynmy to czempredzej i zgodnie. Przekonany jestem, że porozumieć się możemy bez próżnej wrzawy i skandalu...

— Moja córka! — jęczała ona — moja córka droga!

— Janinka znajduje się w bezpiecznym miejscu. Zabrała ją stąd i czuwa nad nią moja matka wraz z mamką. Ja jeden wiem kedy przebywa i gdzie przebywać będzie tak długo, jak zechcę i każę. Nie lękaj się o jej życie... Co do mnie zaś, sądzę, że powinienem być rozłączyć ją z panią aż do chwili, w której nareszcie zechcesz mi się oddać całą...

— Ach.. podły! podły! Wszakże zapewniałeś dotąd ciągle, że przyniesiesz mi pożytki miłością... tylko miłością! Czemu obecnie poddajesz mnie tak okrutnej męczarni? Czy sądzisz, że niegodziwymi i nikczemnymi środkami złamiesz mnie i pokonasz? Nigdy! nigdy!... Nienawidzę pana, pogardzam tobą... Zbyt długo znosiłam twoją przewagę cierpliwie; nie chcę dłużej być niewolnicą, podobnego do ciebie człowieka. Są rzeczy, których zniesienie niepodobna... na samą myśl o tem dusza się wzdryga!

— Uspokój się — rzekł Korf, nie podnosząc głosu, stanowczo i zimno. — Gdyby przypadkiem którykolwiek z naszych służących usłyszał, co mówisz, ręczę, że jutro uczułaśbyś się srodze zmartwioną, myśląc, jak długo pozwoliłaś się unosić niesłusznemu gniewowi... Tem gorzej dla ciebie, jeśli mnie zmuszasz do użycia środków okrutnych i może w rzeczy sa-

mej zasługujących na potępienie. Obecnie tylko takimi posiłkować się mogę; wszystkie inne wyczerpałem już poprzednio. Teraz dopiero zrozumiałem, że gwałtem jedynie pokonać cię zdołam. Chociaż w stosunku do ciebie wyrzekłem się niemal zupełnie mekkiej godności, chociaż w najpodanniejszym upokorzeniu znosiłem i spełniałem twoje kaprysy, dotąd jeszcze nie pozyskałem twego serca...

— Mylisz się pan! Serce moje przepełnione było dla ciebie wdzięcznością; łączyła mnie z panem rzeczywista przyjaźń, chociaż wiesz dobrze, że nie bez przymusu zgodziłam się na nasze przykre pożycie, jakie zgotowało mi moje poświęcenie dla rodziny... Zaczynałam nawet doznawać pewnych wyrzutów sumienia, myśląc, że otrzymujesz zbyt mało za swą dla mnie życzliwość, która mi się wydawała prawdziwą, bezinteresowną i szlachetną. Ach! jakże mam ci teraz podziękować, żeś mnie na czas wyprowadził z błędnego niemiamentu, ukazując się takim, jakim jesteś w istocie!... Więc słuchaj mnie pan, teraz już się pana nie boję! Nie lękam się ani twej gwałtowności, ani twego okrucieństwa...

(Ciąg dalszy nastąpi)